



Numer drugi

20.12.2007

CENA: 1 zł.

O zgłoszonym nieprzygotowaniu do zimojesieni i cennej rzeczy pod kurtką Kasi Nosowskiej

Przesiadując ostatnio w Empiku udało mi się – i to nigdzie indziej jak w dzikim, kolorowym gąszczu czasopism kobiecych – znaleźć nieoceniony bodziec do pisania. Pierwszy felieton Kasi Nosowskiej w listopadowym Zwierciadle. Nie ukrywam, że artykuł wyłowiałam ze względu na sympatię do samej autorki; nazwisko to czasem najlepsza reklama – choć jak wiadomo, trzeba sobie najpierw odpowiednio na nie zapracować.

O ile Nosowska o jesieni wypowiada się bardzo ciepło, przypisuje jej swoje zapadanie w zachwyt absolutny i nie boi się nawet deklaracji, że wielbi i kocha (!) tę rdzawo – rudą porę roku, o tyle ja chciałabym najchętniej... zgłosić tzw. en-pe z połowy listopada i grudnia.

Nieprzygotowanie do tego upierdliwego śniegu z deszczem, który pada i nie pada, a którego koniec końców i tak nie ma (czasami takie nieskonkretyzowanie męczy bardziej niż syberyjskie warunki), nieprzygotowanie do

porannego wstawania, które stanowczo zbyt często bywa walką ze snem i pesymizmem, i – niestety – do nauki, której też się oberwało (bądźmy jednak szczerzy – z chęcią do nauki mamy problem bez względu na porę roku). Tymczasem Nosowska pisze mi uroczo i jak gdyby nigdy nic o tym, jak to niesie lekko nadłamane serce pod kurtką i dousznie aplikuje sobie znieczulenie w postaci muzyki. I jak tu się mimowolnie nie uśmiechnąć?

Pierwszy krok Lipy za nami. I chociaż przypominał on bardziej raczkowanie niemowlaka, drugi kroczek możemy już postawić pewniej, bo z cennym uwzględnieniem wcześniejszych błędów... Dlatego drugi numer różni się od pierwszego – przede wszystkim wizualnie. Ale i tak to dopiero początek drogi i jeszcze wiele potknięć przed nami (na które póki co należy przymknąć oko! ;)).

Z okazji magii nocy św. Andrzeja, Agentki w krzyżowy ogień pytań wzięty tym razem Profesora Dubielisa. Dla tych, którzy (byle tylko nie z nad-

nego oglądania „Magdy M.”) myślą o prawie, Kaśka – ze sprawdzonych i wiarygodnych źródeł – nakreśliła obraz tego ciągle popularnego kierunku studiów. Ci natomiast, którzy ciekawi są, co na grudzień wywróżyła im AmAnDa, muszą w tym miesiącu obejść się smakiem... Myślę jednak, że brak Horoskopu może z powodzeniem zrekompensować Grup Grupa AA, która nieśmiało (nie zapesząc i nie płosząc młodych artystów) zaczyna nam się rozrastać...

Już od przedszkolnego wieśszaka w szatni zapalałam szczerą sympatią do dwójki, zatem winę za moje rozpisanie w grudniowym wstępniaku rzucam na drugi numer... I Nosowską poniekąd. W imieniu całej Lipnej Redakcji życzę Wam spokojnych, ciepłych i pachnących Świąt oraz Sylwestra na miarę Waszych wyobrażeń. ;) Pozdrawiam!

En

Jeżeli wygrywam to muszę się cieszyć, ale podchodzić do tego z... pokorą

W tym numerze nasi specjaliści od „nauczycieli z ludzką twarzą” rozmawiali z Panem Profesorem Andrzejem Dubielisem. O sporcie, pasji i wychowaniu fizycznym z perspektywy nauczyciela w 5 LO przeczytajcie sami...

Czy Pan Profesor od zawsze interesował się sportem?

Jak byłem małym chłopcem, miałem problemy z płucami. Lekarze wmawiali moim rodzicom, że jak będę ćwiczył to umrę - będę biegł, biegł i moje serduszko lub płuca nie wytrzymają. Na szczęście rodzice pojechali do innego lekarza, który wytłumaczył, że trzeba odwrotnie: im więcej ruchu, tym lepiej organizm się broni. Dostałem zastrzyki wzmacniające i po pół roku nie było śladu po chorobie. A gdy w czwartej klasie podstawówki przyszedł do szkoły nowy nauczyciel Wf'u i zachęcił nas do intensywnych treningów, to już wtedy wiedziałem, że chcę robić to samo.

Czy koszykówka jest ulubioną dyscypliną Pana Profesora?

Koszykówka na pewno jest pasją. Taką, którą mogę robić cały czas. Jeśli chodzi o ulubiony sport, to jest ich kilka. Lubię grać w siatkówkę, piłkę nożną, lubię pływać na desce, pod żaglami, lubię jeździć na nartach. Nie mogę wybrać jednej dyscypliny. Koszykówka to jest pasja, która pozwala mi łączyć to, co sprawia mi przyjemność z potrzebami materialnymi, czyli zarabianiem pieniędzy.

Czy ogląda Pan sport także w telewizji?

Z racji tego, że mam dużo

zajęć pozaszkolnych, to oglądam przede wszystkim występy reprezentacji Polski, poza tym rzadko przełączam na kanały sportowe. Ja żyję sportem i dlatego w domu nie chcę przeginać. Staram się gdzieś postawić granicę między życiem prywatnym, a pracą.

Którego sportowca darzy Pan Profesor największym szacunkiem?

Największym szacunkiem darzę Michaela Jordana. Uważam, że facet był ideałem, który osiągnął wszystko w swej dyscyplinie, ale doceniam też takich ludzi jak Robert Korzeniowski, który zdobył kilka złotych medali Igrzysk Olimpijskich oraz włada sześcioma, czy siedmioma językami. Jest to na prawdę duża osobowość, podobnie Adam Małysz. Oprócz tego, że są wybitnymi sportowcami, to są pozytywnymi ludźmi. Mogą być wzorem ciężkiej pracy, wytrwałości, a także pokory.

Jaka jest największa pasja Pana Profesora? Poza sportem oczywiście.

Trudne pytanie, a jeszcze trudniejsza odpowiedź. Jak jest rok szkolny, akademicki i sezon klubowy to mój czas wygląda mniej więcej tak jak w tym tygodniu: w poniedziałek i środę kończę treningi o 21.30; wtorek, czwartek, piątek o 20; w sobotę jadę na mecz do Białej Podlaskiej, a w niedzielę do

Ryk. Kiedy jest sezon, na inne pasje zwyczajnie brakuje czasu. Natomiast, jeśli mam trochę wolnego, spędzam czas z rodziną. Ostatnio udało mi się wybudować dom i chętnie w nim przebywam. Najczęściej spotykamy się ze znajomymi. Mamy sporo przyjaciół, którzy mają dzieci w podobnym wieku, te same zainteresowania, problemy... Jeżeli są wakacje, to bardzo często jeździmy z córą do lasu na grzyby, zwiedzamy najbliższe okolice np. Kozłówkę, Kazimierz, Nałęczów.

Czy słucha Pan Profesor muzyki?

Praktycznie słucham tylko Radia WaWa. Kiedy chodziłem do szkoły nauka angielskiego była w powijakach. Poznałem język na tyle, że z każdym się dogadam, ale nie perfekt. Natomiast lubię wiedzieć, czego słucham, o czym śpiewają wokaliści. Dlatego jestem fanem polskiej muzyki. Słucham dobrych kawałków. Jak jadę w dłuższą trasę i nie kieruję, mogę założyć słuchawki na uszy, to przede wszystkim słucham Kasi Kowalskiej, Varius Manx, Wilków. Zdarza się, jak mam inny nastrój, że włączę Dżem lub Katie Melua.

Jakim uczniem był Pan Profesor?

Trzpiotem - nazywam tak osoby, które najpierw coś robią, a potem pomyślą. I taki byłem przez całą szkołę średnią.



Starałem się nie sprawiać nikomu przykrości, ale wcześniej mówiłem i robiłem, niż pomyślała głowa. Zawsze wspominam lekcje angielskiego. Pani przychodziła po klasę, otwierała drzwi i kazała wchodzić. I przez te wszystkie lata ani razu nie zdarzyło mi się wejść przed panią. Nazwała mnie dżentelmenem i rzadko pytała na angielskim. Dlatego teraz na godzinie wychowawczej w 2a, do klasy pierwsze wchodzi dziewczyny, a dopiero później chłopcy. Hierarchia musi być.

W co grał Pan profesor w młodości?

Grałem w piłkę nożną w lidze wojewódzkiej w klubie POM Piotrowice. W pewnym momencie mając propozycję do Avii Świdnik, Budowlanych Lublin zdecydowałem się, że będzie to jednak AWF i zakończyłem piłkarską karierę.

Jaki jest Pana zdaniem stosunek uczniów do wychowania fizycznego?

Wszystko zależy od szkoły. Często wspominam pierwszy rok pracy w V LO. Po studiach pracowałem w Bystrzycy Starej po Lublinem, później kilka lat w Szkole Podstawowej nr 46, a następnych kilka lat w gimnazjum. Jak przyszedłem uczyć tutaj, poczułem jakbym po ciężkiej pracy został na rok wysłany na wakacje. Nastąpiło

połączenie dwóch rzeczy. Nie dość, że osoby są chętne do Wf'u to jeszcze są sprawne i inteligentne. I to akurat jest specyfika tej szkoły, że niewielu w niej omnibusów, dla których liczy się tylko nauka, ale do tej szkoły trafiają właśnie zdolne dzieci, które oprócz uczenia mają inne pasje.

Nie mam żadnych problemów na lekcjach wychowania fizycznego. Jak ktoś chce, to ćwiczy, jeśli nie, to trzeba go zachęcić, nauczyć. Każdy z was będzie kiedyś ojcem, matką i na pewno dziecko poprosi was żebyście pograli z nim w koszykówkę, poodbijali piłkę. A jeśli wy będziecie mogli zrobić to bez żadnych oporów, to będzie super. I to jest właśnie największy sukces. Nie wychowanie mistrza, nie zdobycie mistrzostwa województwa. To nie jest sukces. Sukcesem jest, jeśli klasa przychodzi i każdy w tej klasie coś potrafi.

Jak stara się Pan profesor urozmaicać lekcje wychowania fizycznego, żeby uczniowie chętnie brali w nich udział?

Bardzo trudne pytanie (śmiech). Uważam tak, że jeżeli nauczyciel jest zaangażowany w to, co robi i realizuje program, ale jest także elastyczny i pozwala zaistnieć uczniom, to wtedy te lekcje są atrakcyjne. Najważniejsze żeby nie wytwarzać sztucznej atmosfery, presji, rywalizacji... Tak próbuję to robić... Wprowadzam taką dobrą atmosferę, staram się chwalić ucznia, pokazywać drogę do postępu, a nie krytykować i zwracać uwagę. Nie wiem czy mi to wychodzi. Musicie zapytać uczniów, którzy chodzą do mnie na Wf.

Gdy zostawia Pan profesor wolną rękę swoim uczniom, to w co najchętniej grają?

Zależy od klasy, ale również od

togo, czy są to chłopcy, czy dziewczyny. Na przykład wiosną dziewczyny chętnie grają w piłkę nożną. Początki w pierwszej klasie bywają różne, ale potem przekonują się do tej dyscypliny, też lubią sobie pograć w piłę, kopnąć, strzelić. One także kibicują różnym klubom: Chelsea, ManU, Legii, Wiśle i bardzo szybko poznają zasady. Natomiast w ziemie dominują siatkówka i koszykówka – na zmianę.

Jak ktoś nie potrafi i nie chce grać to stoi gdzieś na środku boiska. Gdybyście przyszli do pierwszej klasy podstawówki to rozpoczynalibyście od zera. W liceum jest inaczej: jedni mieli farta, bo nauczyli się techniki w gimnazjum, inni trafiali na nauczycieli prowadzących zajęcia na macie: „Macie piłkę i sobie pograjcie”. I nagle okazuje się, że jeden skacze i zbija piłkę, a drugi nigdy wcześniej tego nie robił. Dlatego jak ktoś potrafi wykonuje to z przyjemnością, a jak nie umie, to z obawą.

Jaki jest największy sukces związany z prowadzeniem reprezentacji szkolnej przez Pana Profesora?

Każdy mecz to sukces, ale nie chodzi tylko o zwycięstwo. Zawsze patrzę na to przez inny pryzmat. Sukces sportowy jest bardzo ważny, gdyż pomaga trenerowi podbudować siły swoje i drużyny. Ale ja cenię także więź jaka powstaje podczas wspólnych treningów. Udało mi się wyprowadzić pewną grupę osób, ale najbardziej cieszę się, gdy po skończeniu szkoły proponują: „Trenerze. Spotkamy się? Pogadamy?”. To lubię najbardziej. Pomogłem wyjechać czterem dziewczynom do Stanów na Collage z koszykówki i one przyjeżdżają, spotykamy się, rozmawiamy. To jest według mnie sukces sportowy.

Wywiad

Idąc z tym swoim bagażem życiowym znalazłem takie motto: Jeżeli wygrywam to muszę się cieszyć, ale podchodzić do tego z... pokorą. Zwycięzcę każdy klepie po plecach, każdy chce być blisko niego, natomiast jak się przegrywa, najczęściej zostaje się samemu. Ja cieszę się również z porażki. Wiem, że jeszcze nie uderzyłem głową w sufit, jeszcze coś muszę zrobić, żeby tych porażek było jak najmniej. Sukces sportowy?

Dobrze, ale nie za wszelką cenę.

Czy chciałby Pan Profesor skierować jakieś słowa do czytelników LIPY?

To nie są słowa tylko do czytelników gazetki szkolnej, ale do wszystkich ludzi: Cieszymy się, kiedy mamy okazję, uśmiechajmy się, bądźmy radośni, dlatego, że gdy człowiek jest uśmiechnięty, to skupia wokół siebie takich samych ludzi i zbiera z otoczenia dobrą ene-

rgię.

Kiedy nie muszę być smutny to staram się być wesoły, uśmiechać, żartować, czasem opowiedzieć jakiś kawał, zarażać ludzi szczęściem.

Dziękujemy bardzo Panu Profesorowi, że znalazł Pan czas na udzielenie wywiadu dla gazetki szkolnej.

Ja również dziękuję. Do widzenia.

Odłotowe Agentki i Romek



**DYREKTOR I RADA PEDAGOGICZNA V LO IM. MARII SKŁODOWSKIEJ – CURIE
W LUBLINIE SKŁADAJĄ ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE WSZYSTKIM
PRZYJACIOŁOM I SYMPATYKOM SZKOŁY.**

**OBY CZAS ŚWIĄT PRZYNIÓŚŁ TYLKO DOBRE UCZUCIA I PRZYPOMNIAŁ PRAWDĘ,
WEDŁUG KTÓREJ BYĆ SZCZĘŚLIWYM TO MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ I WIARĘ,
ŻE SWĄ SIŁĘ DUCHA I TALENT MOŻEMY DAĆ INNYM.
TAK POJĘTEJ RADOŚCI ŻYCIA ŻYCZYMY NA BOŻONARODZENIOWE
I NOWOROCZNE DNI.**

Grecy dali swoim dziełom słowa, oni dają im życie – wieczór z Ośrodkiem Praktyk Teatralnych Gardzienice.



Są wydarzenia, o których można opowiadać godzinami i przy każdej nadarzającej się okazji. Są także wydarzenia, które zgodnie się przemilcza – milczenie jest czasem niepisaną umową między ludźmi. Są też jednak wydarzenia, które przeżywa się tak mocno, że opowiadanie o nich jest na tyle trudne, że milczenie wydaje się najlepszym wyjściem. Aż chciałoby się krzyknąć: To po prostu trzeba zobaczyć! I właśnie takim wydarzeniem jest dla mnie nasze spotkanie z Ośrodkiem Praktyk Teatralnych Gardzienice.

Nigdy nie byłam wyjątkową entuzjastką sztuk teatralnych. Owszem, oglądałam czasem poniedziałkowy Teatr Telewizji, szanowałam tę formę sztuki, nigdy nie uważałam, że nie jest godna zainteresowania... Nie pamiętam jednak, kiedy byłam w teatrze. Być może dlatego na wyjazd do Gardzienic w sobotni wieczór 17 listopada skusiłam się bardziej z ciekawości niż ze znajomości teatru stworzonego przez Włodzimierza Staniewskiego...

Metamorfozy, Waza François, Mała Ifigenia, Ifigenia w Aulidzie... Gardzienice. Byłam pewna, że zobaczę urokliwy, pobielany pałacyk w centrum małej, niepozornej miejscowości, z dużą sceną, wygodnymi krzesłami i jakimś nieokreślonym, bijącym zewsząd patosem, z którym najczęściej kojarzyłam teatr. Jedynie obiecana przed wyjazdem, wliczona w cenę porcja pierogów – w przerwie między spektaklami – nie pasowała mi do tego ob-

razka. Zanim zdążyłam uważniej rozejrzeć się dookoła, stałam już – ni mniej, ni więcej – w dużej, drewnianej szopie, wypełnionej przyjemnym gwarem rozmów osób (jak się później okazało: przybyłych z różnych zakątków Polski) i zapachem darmowej kawy lub herbaty. Kiedy ciepło płynące z atmosfery i napojów rozgrzało zgromadzonych, na scenę wyszedł Staniewski – człowiek, dzięki któremu Ośrodek Praktyk Teatralnych (mimo najróżniejszych przeciwności losu, przede wszystkim finansowych) rozwinął działalność poza granicami kraju. Bystre, pełne życia oczy, siwawy zarost, ton głosu, którego nie dało się zignorować i bardzo przyjemne, osobiste przyjęcie – to zapamiętałam najmocniej. Potem były już tylko spektakle i późnowieczorne, pełne magii przechadzki między przedstawieniami – z dużej szopy do starego spichlerza, ze spichlerza do gospodarstwa... I to właśnie tam, w drewnianych pałacach z materacami zamiast obitych krzesel, rozgrywały się sceny będące szczytem wszystkich zaskoczeń i niecodziennych, jak dla teatru, rozwiązań.

Bardzo długo zastanawiałam się nad tym, jak opisać samą formę spektakli, sposób, w jaki gardzienicki teatr przemawia do

widzów. Czytając opinie o Gardzienicach, opinie z najróżniejszych środowisk i krajów, natknęłam się na słowa Marlon Hunt, pochodzące z czasopisma „offoff ONLINE” z Nowego Jorku: „(...) Greccy twórcy nadawali tym prawdom słowa, Gardzienice dają im życie”.

Jest to teatr bez granic; teatr, który ogłusza niewyobrażalną wręcz dawką emocji płynącą ze sceny. W Metamorfozach każda z postaci jest symbolem, każda jest częścią dzieła, które razem tworzy oszałamiający obraz. Ciągły ruch. Akcja nie pozwala na przegapienie choćby chwili, choćby jednego elementu. Tupot bosych nóg po drewnianej podłodze, naoczne stapienie się pogańskich obrzędów z chrześcijańskimi symbolami, do tego fenomenalna (!) muzyka i śpiew, przenoszące każdego z widzów w świat pozornie daleki... Opętańczy krzyk. Szał bijący z oczu. Przerazenie. Przenikający ból widoczny dzięki całemu ciału aktora, a wszystko to przy akompaniamencie genialnej wręcz gry światła...

Opisywanie tego jest z góry skazane na niepowodzenie – bo i jak oddać niesamowity język gestów i ożywianie obrazów z martwych, greckich waz; przenoszenie ich prosto na scenę – tak jak to widzieliśmy w Wazie

François? Jak wytłumaczyć fakt, że mit o Ifigenii i losach bohaterów wojny trojańskiej można przedstawić także w konwencji cygańsko – jarmarcznej, tragiczne zaś losy córki Agamemnona ukazać z taką dozą humoru, by publiczność zgodnie pękała ze śmiechu? Nie bezpodstawnie G. Józefczuk pisał na łamach Gazety Wyborczej: „Staniewski, jak na pstryknięcie palcami, sprawił, że młodzi zdolni dramat zmienili w komedię pełną odniesień do sytuacji najzupełniej współczesnych. To również niemal na talerzu podany przykład uni-

wersalności antycznego tekstu.” Ifigenia w Aulidzie to obraz głęboki i ważny, teatr najwyższej klasy z wieloma odniesieniami i ukrytymi myślami, ukazujący – czasami dosłownie – nagą prawdę o ponadczłowieckości ludzkich uczuć i zachowań.

Wiele bym dała, by to widowisko zobaczyć jeszcze raz; jestem pewna, że nie zauważyłam wszystkiego, nie wszystko też od razu zrozumiałam. Teatr gardzienicki jest – przynajmniej dla mnie – bardzo trudny, ale fascynujący, odpowiedzi na pewne pytania przychodzą

dopiero po jakimś czasie. Tuż po Metamorfozach, po pierwszym spektaklu, byłam zdezorjentowanym, wbitym w ziemię znakiem zapytania. Dziś jestem wbitym w ziemię wykrzyknikiem, któremu pokazano, że teatr to nie tylko patos i uczucia zamknięte w białych ścianach pięknego budynku, ale także cała feeria emocji i życie zamknięte w ścianach niepozornej, drewnianej szopy...

En

Kiedy ktoś z naszej szkoły wygrywa konkurs wojewódzki, my nie możemy o tym nie wspomnieć! Zamieszczamy poniżej fragmenty reportażu Kingi Gruszeckiej z klasy 3B, laureatki I wojewódzkiego konkursu na reportaż „ZAWÓD REPORTER”, pod patronatem Lubelskiego Kuratora Oświaty, Starosty Powiatu Lubartowskiego i Gazety Wyborczej. Pracę drugiej laureatki, Katarzyny Kostyły z klasy 3H, opublikujemy już w następnym numerze. Gratulujemy!

|| Mój skrawek Bawarii

Maria i Jan od dwudziestu lat mieszkają w Monachium. Tam się poznali i założyli rodzinę, która obecnie liczy pięć osób i kota. On jest starszy, ale to ona opiekuje się wszystkimi. Wyjechali w poszukiwaniu lepszego życia, ale czy można uciec od tego co nieuchronne?

Droga długa jest...

Wyjeżdżam z Polski i jadę w świat, czyli w obcą krainę Bawarii – do Monachium. Podróż o tyle straszna, że moja znajomość niemieckiego nie kwalifikuje się nawet do grupy zerowej i mniej więcej to samo można powiedzieć o angielskim. Jednak wrodzona ciekawość świata powoduje, że spędzam w autobusie dwadzieścia dwie godziny. (...)

Szok kulturowy

Chwilę po przekroczeniu granicy widzę i czuję różnicę. Drogi są w stanie idealnym – sama, w obawie przed snem, nie odważyłabym się prowadzić auta. Co chwila wjeżdżamy w jakiś niekończący się tunel, a gdy już z niego wyjedziemy to za oknem podziwiamy pola chmielu i... wiatraki! (...)

Na miejscu okazuję się, że przybyliśmy za wcześnie o jedynę trzy godziny. Podejmuję ryzyko i wykręcam numer – o piątej nad ranem – i wtedy następuje kolejne zdziwienie. Nie słyszę typowo polskiego „O***, ja***, czego?”. Tylko uprzejmie, choć śpiąco, Maria zapewnia, że już wyjeżdża. I faktycznie widzimy się godzinę później. (...) Przepraszam ją, że

dzwoniłam tak wcześnie i pytam, czy nie obudziłam... I wtedy słyszę, że i owszem obudziłam, ale mówi się trudno. Co?! - Nie ma zapewnień, że wstawanie o piątej to czysta przyjemność?!

Piwnica domem

- „Pewnie jesteś głodna” - pyta po wejściu do domu M., ja tymczasem badam teren. Gospodyni żartuje, że mieszkają w piwnicy - od drzwi wejściowych, należy do ich mieszkania zejść, a nie wejść po schodach. A z okna w salonie można udać się prosto do ogródka – dzięki specjalnej skrzynce, służącej za skarbczyk, stół i schodek.. Kiedyś od razu z pokoju wskakiwałoby się do basenu, ale teraz rośnie tam

tylko trawa i dwa drzewa. W ogródku panuje niczym niezmacona cisza, ponieważ nawet miauczenie kota prowokuje sąsiadkę – Niemkę – do awantury. „I co z tego, że jest altanka, skoro nie wolno jej używać? – komentuje Maria.” (...) Najbardziej przyciągająca jest jednak łazienka i choć to niezbyt nastrojotwórcza część domu, panuje w niej przyjazna atmosfera. Klimat tworzą nietypowe kafelki – każdy z nich ma własny rysunek: rybkę lub roślinkę – „A. kiedyś mnie wymęczyła o robienie takimi farbami specjalnymi – opowiada Maria – ona miała robić, ale w końcu to ja musiałam. Ta kopnięta jest jej” – różowa rybka rzeczywiście wygląda jakby miała zdeformowany grzbiet. Czy komuś w moim kraju przyszło by do głowy dekorowanie glazury z pociechą? Hm, może tylko Super Niani (...)

Dzień jak co dzień

Kierujemy się do Drogerii, czyli miejsca, gdzie można kupić wszystko poczynawszy od świecy zapachowej aż po film do aparatu; tylko że kilka razy drożej niż w supermarkecie. Tam witamy się zgodnie ze zwyczajem regionalnym „Grüß Gott!”, a pani ekspedientka odpowiada z przemiłym uśmiechem i pyta Marii dlaczego tak dawno jej nie było i czy wszystko w porządku. Widać, że naprawdę ją to interesuje i że nie dostaniemy tego po co przyszliśmy, dopóki nie odpowiemy na wszystkie pytania. Kolejny przystanek stanowi Kaufstadt, czyli sklep z odzieżą, gdzie M. czuje się dość pewnie z kartą kredytową w ręku. Wybiera, co jej się tylko spodoba i czasem wygłasza komentarze w stylu „Już coś podobnego mam, ale to jest takie piękne. Z

resztą jest wyprzedaż! 20 ojro za taki sweterek?! Cudowne, muszę go kupić”. Dla niej to drobne, które nosi w kieszeni, ja jednak wszystko przeliczam na złotówki i wychodzi mi całkiem niezła sumka. Raz zapłaciłyśmy gotówką, gdyż „Janek nie musi o wszystkim wiedzieć”. Ale zaraz tłumaczy, że po to jej mąż siedzi w biurze, żeby wydawać, a i tak w tym miesiącu im się udało, bo są tylko tysiąc euro na debecie(...)

– „Jeszcze pojedziemy na hale” – decyduje Maria. Takiej „hali” brakuje mi w Polsce. Ludzie pozbywają się zbędnych, ale jeszcze sprawnych rzeczy, wyrzucając je do specjalnych kontenerów. „Ofiary” domowych porządków zwożone są na hale, gdzie można nabyć je za bezcen. Bogata oferta: książki, rowerki, meble, komputery i niska cena – idealne połączenie. Maria za statek z wyposażeniem dla Barbie, dwie lalki oraz płyty Cd płaci 3 Euro. Nawet po przeliczeniu na rodzime sumy, kwota nie przyprawia mnie o dreszcze. (...)

Na ulicy mimo późnej pory jest pełno ludzi. Nie wracają jednak do domów, ale ćwiczą. Jakaś pani jedzie na rowerze, ktoś biega, nastolatki szaleją na łyżworolkach... sport to zdrowie (...)

Wywalczyć normalność

Po ostatnim porodzie M. dziwnie się czuła. Była apatyczna i nie miała siły, bolały ją stawy i mięśnie. Po badaniach lekarz odczytał wyrok – Fibromyalgia. Choroba niezwykle rzadka, nieuleczalna i nieznana przez środowisko medyczne. Marię pozbawiła możliwości wykonywania ciężkich prac fizycznych, ograniczyła jej aktywność i zmusiła do rezygnacji ze stałej pracy. Jej dzień, choć wygląda

dość chaotycznie, to jest dokładnie zaplanowany, aby jego przeżycie sprawiało jak najmniej bólu. (...) Jeśli M. wracają siły wykonuje obowiązki gospodarza domu, pomaga koleżankom – Polkom nieznającym języka. Zdarza się także, że jak tylko zrobi, co konieczne łądzie się i przesypia kilka godzin. Wtedy nawet gra na pianinie Stasia, czy wykrzykiwania Ani nie są w stanie jej obudzić (...)

Szpital prawdę ci powie

Któregoś dnia pojechałam ze Stasiem i „Małą” na plac zabaw. Ania uparła się, żeby jechać na „ten lepszy”, czyli w pobliżu szpitala. Oboje, na zmianę opowiadają mi co tu się działo. Cała trójka właśnie w nim przyszła na świat. Tu właśnie Kuba miał trzy operacje w przeciągu dziesięciu dni, po wypadku samochodowym. Natomiast Ania rehabilitowała rękę po złamaniu.

– Teraz Papa ma tu swojego onkologa – mówi niepewnie Staś.

Jan ma rozległego guza mózgu. Czeka na chemię, ale nie chce zrezygnować z pracy ani z przyjacielskich meczy. Wie, że z dnia na dzień jest mniej sprawny i dlatego korzysta z każdej chwili, aby nacieszyć się życiem. (...) Lekarz prowadzący jest jednak pod wielkim wrażeniem, że J. nie tylko jeszcze chodzi, ale również pracuje.

Maria wspiera męża jak tylko może. (...) wie, że nie może się poddać rozpacz...

Moja Bawaria

Jechałam nastawiona na zwiedzanie i poznawanie. I rzeczywiście poznałam coś cenniejszego i piękniejszego niż Nymphenburgschloss czy Neue

Pinakotek. Siłę miłości i przywiązania. Podczas pobytu w Bawarii nie „podszlifowałam” języka, nie zdobyłam Alp, ani na-

wet nie kupiłam jeansów na wyprzedaży. Ale poznałam ludzi, którzy są gotowi walczyć z przeciwnościami losu w każdej chwili

i którzy nie znają wyrażenia „nie dam rady”. Wracając myślami do mojej podróży, wracam przede wszystkim do nich.

Zoom na Lipę

Michał Miłosz Zieliński, redaktor naczelny Lubelskiego Informatora Kulturalnego „Zoom”, jako pierwszy „z zewnątrz” ocenił premierowy numer Lipy. Wizyta dziennikarza 21 listopada przyciągnęła także kilka osób spoza szkolnego grona dziennikarzy.

Spotkanie zostało podzielone na trzy części: prezentacja „Zooma”, charakterystyka zawodu dziennikarza oraz ocena pierwszego wydania szkolnej gazety. Uczestnicy spotkania dowiedzieli się między innymi: w jaki sposób powstawał Zoom, jakie były problemy z rozpoczęciem wydawania oraz samą pracą nad kolejnymi numerami bezpłatnego miesięcznika. A powstawał on w warunkach dość trudnych - problemy z funduszami, niezgodności pomiędzy

redakcją Informatora a władzami miasta odnośnie składu felietonistów nie przyspieszały prac nad pierwszym wydaniem. Prezentacja multimedialna przygotowana przez redaktora Zielińskiego dotyczyła także znaczenia szaty graficznej, roli symboli na okładce oraz kolejnych odmłodzeń layout'u Informatora.

Druga część spotkania była przeznaczona dla osób, które swą przyszłość wiążą z pracą w redakcji. Ten kto myślał, że zawód dziennikarza to proste pisanie za wielkie wynagrodzenie - poczuł kubek zimnej wody na głowie. Otóż zawód dziennikarza to przede wszystkim dyspozycyjność o każdej porze dnia i nocy, czasem praca w ciężkich warunkach i za nie wielkie pieniądze, do tego nieprzyjemności związane z rzete-

lnym wykonywaniem obowiązków. Jakie nieprzyjemności? Np. spore utrudnienia w załatwieniu sprawy u urzędnika, o którym napisało się prawdę, że jest niekompetentny.

Na koniec spotkania nastąpiła chwila prawdy - ocena „Lipy”. Pochwalone zostały teksty, ale najbardziej sam pomysł wydawania szkolnego pisma. Wad było też sporo, największa to nieprofesjonalny skład. Pan Zieliński udzielił też kilku rad dziennikarzom - co i jak robić, aby było dobrze. Odpowiedział także na kilka pytań.

Spotkanie podobało się uczestnikom i Redaktorowi. Pojawiły się także wstępne plany kolejnych warsztatów z ciekawymi ludźmi, na które serdecznie zapraszamy.

...:::SwEeThA\$niE! =D:::

Idea Dnia Różowego narodziła się w głowach Piątkowiczów dokładnie 12 października. Data ta, jak pamiętamy, zapisała się w historii 5-go LO jako Dzień Dresy. Właśnie wtedy padła propozycja, aby co jakiś czas w naszej szkole odbywał się dzień wybranej subkultury. Tym razem miał to być dzień słodczy, kiczu i tandety - Dzień Rózu.

Głównym celem miała być (tak jak w Dniu Dresy), świetna zabawa i rozrywka dla tych, którzy założyli kiczowate wdzianko, a także wyśmianie „różowego” typu dziewczyn. I to nie tylko przez założenie krejzlił stroju, ale również przez

naśladowanie typowo „różowych” zachowań, a to przez głupawę chichot, a to przez mało błyskotliwe wypowiedzi.

A stroje? Doskonałe. Mogliśmy zobaczyć różowe spódnice, spodnie, bluzy, bluzki, bluzeczki... Były nawet różowe nakrycia głowy i różowe okulary. W lalki Barbie przemieniły się przede wszystkim dziewczyny, ale można było zauważyć też kilku przedstawicieli płci męskiej, którzy odważyli się podjąć tego trudnego zadania i dumnie lansowali się w szkole. Jednak najlepiej charakter tej „subkultury” oddały reprezentantki klasy II D. Prześmieszne stroje, oraz zachowania i wypowiedzi a la Doda lub Mariolka

były główną atrakcją 22 listopada.

A jaka była reakcja grupy wyśmiewanej? Tak jak się można było spodziewać - niezrozumienie i brak dystansu, a co za tym idzie - oburzenie. Natomiast pozostali wykazali się poczuciem humoru, podeszli do „święta” z rezerwą i dobrze się bawili.

Może trzeba się zastanowić, co jest ważniejsze: strój, czy osobowość? Czy osobowość to strój? Czy strój to osobowość? A może ani jedno, ani drugie?

Święto Różowych Lal okazało się sukcesem. A kto znajdzie się następnym razem w gabinecie krzywych luster? Metal? Kibic? Zobaczmy...

Andrzejki – dzień czarów, wróżb i słodkich rurek z przepowiedniami

W imieniny Andrzeja pojawiła się w szkole tajemnicza grupa Cyganek i wróżbitów, wśród której byłam również ja. Wyposażeni w rozmaite magiczne, wieszczce, rekwizyty, chętnie służyliśmy swoją mocą zaciekawionym uczniom.

Oferowaliśmy przepowiednie dotyczące przyszłego wybranka lub wybranki (imię, wygląd, cechy, zainteresowania i ewentualna lokalizacja) – cieszyły się one największym zainteresowaniem. Ponadto można było dowiedzieć się co przyniesie przyszłość, poprzez zakup

(pieniążki uaktywniały naszą moc:) losu z przepowiednią w postaci estetycznej, białej, zmiętej kartki; przekonać się o potędze (i nieomyślności :)) magicznej kuli lub poddać się wrózeniu z ręki. Uwagę zwracały także pyszne rurki – ich widok pobudzał do wzmożonej aktywności ślinianki licealistów, którzy zapomnieli drugiego śniadania. Z tego powodu popyt przewyższył podaż.

Reakcje na nasz straganik były bardzo różne – zastanawiam się, czemu niektórzy śmiali się na nasz widok, przecież wyglądaliśmy zupełnie normalnie –

jak na „prawdziwych Cyganów” (których już nie ma) przystało. Jestem pewna, że hojnym dla nas pannom i młodzieńcom przepowiednie się sprawdziły i już dziś doznają oni szczęścia i przyjemności z, ekhm, obcowania z wywróżonym sobie wybrankiem/wybranką. A tym, którzy żalowali pieniędzy... Też życzę spełnienia marzeń, lecz zachęcam na przyszłość – uwierzcie w siły nadprzyrodzone. ;)

Franciszka Wyrobek (K.S.)

Pierwszej próby próba pierwsza... Matury.

W dniu 5-7 grudnia 2007 r. w naszej szkole uczniowie klas trzecich przystąpili do matury próbnej z języka polskiego, języka obcego nowożytnego i przedmiotu dodatkowego, wybranego przez siebie.

Szczegółowy wybór przedmiotów był następujący: biologię wybrało 61 osób, matematykę – 47 osób, WOS – 47 osób,

historię – 35 osób, geografię – 33 osoby, chemię – 17 osób, fizykę – 13 osób.

Teraz do trudnej i odpowiedzialnej pracy przystępują nauczyciele, których zadaniem jest sprawdzić oraz ocenić prace zgodnie z kryterialnym modelem oceniania. Wynik punktowy należy przeliczyć na wynik procentowy, a następnie zastoso-

wać skalę jak w PSO. Prace maturalne będą ocenione i omówione z uczniami, oceny wstawione do dziennika z zaznaczeniem poziomu egzaminu najpóźniej do 21.12.2007 r. Warto przypomnieć, że odpowiedzi można znaleźć na stronie internetowej:

www.probnamatura.pl

[źródło: www.5lo.lublin.pl]

Warsztatów część kolejna...

12 grudnia w sali 104 odbyły się drugie już z kolei warsztaty dziennikarskie, organizowane dzięki Pani Profesor Elżbiecie Pawlak. Adresowane są nie tylko do członków Redakcji Lipy,

ale też wszystkich zainteresowanych. Tym razem cykl warsztatów poprowadzi Karolina Burno – studentka dziennikarstwa oraz współpracownik cza-

Garwolina. Już teraz serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych na kolejne spotkanie, które odbędzie się 9 stycznia 2008.

Teraz Lublin! - czyli Sekielski i Morozowski w stolicy województwa

Tomasz Sekielski oraz Andrzej Morozowski, prawdopodobnie najpopularniejsi dziennikarze publicystyczni w Polsce, 13. listopada odwiedzili nasze miasto. Na spotkanie z autorami programu „Teraz My” przybyły tłumy - aula oraz przyległe sale wydziału Polilogii UMCS były wypełnione po brzegi.

Przez ponad godzinę dziennikarze opowiadali o swojej pracy, początkach w mediach oraz o dziwnych, a czasem zabawnych sytuacjach, jakie w formacie na żywo mogą się zdarzyć. Program „Teraz My!” od początku wzbudzał wielkie emocje. Nazwa pochodzi od słów premiera Jarosława Kaczyńskiego - chodzi o słynną frazę TKM, z której ze względu na

dobre obyczaje, pozbyto się środkowego słowa.

Publiczność najchętniej pytała o obiektywizm prowadzących i stacji TVN. W odpowiedzi dziennikarze opowiadali liczne anegdoty o oburzeniu po programie posłów koalicji... i opozycji jednocześnie. Politycy zarzucają redaktorom skandaliczny styl prowadzenia rozmowy, faworyzowanie przeciwników. Niektórzy wyrażają niezadowolenie w sposób iście dyplomatyczny – jak Andrzej Lepper, który chciał dać w papę Morozowskiemu, po ujawnieniu materiałów na szkodę Samoobrony. Obrażali się także wszyscy posłowie PiS (poseł Jacek Kurski powiedział, że było to postanowienie klubu), Bronisław Geremek, bracia Kaczyńscy, Aleksander Kwaśniewski, Jan Rokita i wielu in-

nym.

Obaj panowie nie uważają się za gwiazdy lub wybitne osobowości. Przepisu na sukces nie mają. Ich zdaniem dziennikarz powinien być pracowity, ciekawy świata, uczciwy, bezkompromisowy i lojalny wobec odbiorców.

Spotkanie w głównej mierze było związane z promocją książki „Teraz my prześwietlamy”. Zawiera ona najciekawsze fragmenty programu „Teraz My!” oraz „Prześwietlenie”, a także nieznane informacje dotyczące autorów.

Czasem warto zainteresować plakatami w pobliżu Uniwersytetów... Polecam!

FSM

...bo lepiej iść na PRAWO niż na lewo...

Prawo jest zdecydowanie kierunkiem dla ambitnych, wytrwałych, cierpliwych i zmotywowanych osób. Licealiści marzący o dostaniu się na nie powinni skupić się na nauce historii i wiedzy o społeczeństwie. A jest ich wielu – prawo jest jedną z najpopularniejszych dróg, jaką obierają młodzi ludzie. Konkurencja jest zatem spora. Nie ma się czemu dziwić – studia prawnicze dają wiele możliwości (różne aplikacje, praca w urzędach biznesie). Gra jest więc warta świeczki – ale jakie niespodzianki czekają na świeżo upieczonych studentów?

Pierwszy rok jest swoistym

wprowadzeniem. Trzeba przebrnąć przez historię filozofii, historię ustrojów państw, etykę prawniczą, historię prawa, wstęp do nauki o państwie i prawie, logikę prawniczą (matematyka, filozofia...), łacinę. Studenci skarżą się na prawo rzymskie – ale bez niego ani rusz. Dość trudno zaliczyć wszystkie egzaminy – liczba osób na roku zmniejsza się już po pierwszym semestrze, lecz większości udaje się przejść na wyższy poziom wtajemniczenia. Na drugim roku pojawiają się „konkrety” – prawo administracyjne, konstytucyjne i karne. Lektura opasłych ksiąg, nie zawsze ciekawych, wymaga cierpliwości i dobrej pamięci –

niezbędnych w przyszłej pracy prawnika. Dopiero w trzecim roku nauki istnieje możliwość wyboru niektórych przedmiotów pod kątem pisanie pracy magisterskiej, zawodowych planów lub po prostu zainteresowań. Można na przykład wybrać medycynę sądową – jest to ciekawy, lecz wymagający odpowiednich predyspozycji przedmiot dla „wybrańców” (tych z mocnymi nerwami i odpornym żołądkiem). Niektórzy studenci uważają, że pierwsze trzy lata są najtrudniejsze. Czwarty i piąty rok mija im głównie na zbieraniu materiałów, przygotowywaniu się do pracy magisterskiej i pisanie jej, ale oczywiście wciąż jest sporo

nauki. Często podejmują pracę w kancelariach prawniczych w charakterze „segregatora papierów” i obserwują pracę doświadczonego prawnika. Studia kończą z tytułem magistra – zazwyczaj...

Po prawie raczej nie grozi bezrobocie – nawet bez zrobienia aplikacji. Zawsze można zrobić dodatkowe studia podyplomowe i wykorzystywać znajomość praca praktycznie w każdej branży. Można także zostać też

policjantem/policjantką i dzięki dyplomowi szybciej awansować.

Katarzyna Stachyra

■ „Jedźmy, nikt nie woła”

Sześć lat podstawówki, trzy lata gimnazjum i drugi rok liceum, a ja nadal nie przyzwyczaiłem się do poniedziałku. Na czasomierzu godzina 11:47, to już pięć lekcji mecze się z małym głodem, gdyż jak zwykle wstałem dziesięć minut za późno i na śniadanie zabrakło czasu (a autobus i tak mi uciekł). Na szczęście mam okazję załatwić śniadanie i obiad za jednym podejściem. Już wcześniej postanowiłem, że na tej przerwie odwiedzę szkolny supersam (zwany dalej sklepikiem, bufetem, barkiem). Z pewnością zrobiłbym to wcześniej, ale musiałem korygować zaległości edukacyjne. Kolejny rzut oka na srebrną tarczę zegarka, jeszcze dziewięćdziesiąt sekund i znacznie się przerwa obiadowa. Głód osiąga już apogeum, czuję, że wraz z dźwiękiem dzwonka osiągnę stan euforii. Nie myślę już o lekcji, nie myślę już o niczym, teraz jestem tylko ja i dłuższa wskazówka zegarka, która niepośpiesznie dobija do liczby 10. Czas płynie wolno, jak zwykle, gdy na coś się czeka. W moim przypadku jest to duża kanapka oraz Tymbark 0.3l w szklanej butelce zakrytej zielonym kapslem z aforyzmem.

Ostatnie 30 sekund lekcji mija na ostatnim odliczaniu w myślach. 3.. 2.. 1.. i... I nic, zegarek się spieszy. Niepocieszony czekam... I już jest. Dzwonek! Szybkie pakowanie zabawek i maraton przez cały korytarz i trzy piętra w dół.

Zaraz znajdę się w najpiękniejszym miejscu szkole. Dochodząc do bufetu widzę po prawej stronie na ścianie strzałkę z napisem „Barek”... Jeszcze 7 schodów i nikt mnie nie powstrzyma od zabicia głodu. Przed otwartymi do wewnątrz, białymi drzwiami z reklamą „Dania Gorące” jest już tłum. Przebijam się do wewnątrz i widzę, że ludzie tworzą sztuczny tłok, trudno, to nie mój biznes. Staję na palcach i ponad głowami niższych osób szukam w kolejce znajomych. Niestety, same pierwsze klasy, które miały lekcje dużo bliżej sklepu niż ja. Kulturalnym, aczkolwiek zdecydowanym krokiem przepycham się wzdłuż kolejki. Jeszcze trzy osoby i ja. Wychylam się zza olbrzymiego pierwszoklasisty i otwierają się przede mną wrota rajów: tacka z kanapkami, dwie tace z zapiekankami i drożdżówkami oraz regał pełen łakoci.

Na szczęście mam już sprecyzowane plany, bo gdyby miało dojść do wyboru to zabrakłoby przerwy na zastanawianie. Tyle dobrego, a pieniędzy za mało. To jest właśnie jedyna wada bufetu: za duży wybór asortymentu. Jeszcze dwie osoby i będę ja. Spoglądam w lewą stronę i widzę nieśmiało dochodzące przez okno do moich żrenic światło dzienne, a za oknem... Wilgotność powietrza osiągnęła już chyba 100%, siąpi deszcz, zimno. Aż strach pomyśleć o filozoficznym, a w zasa-

dzie w mojej obecnej sytuacji egzystencjalnym temacie, co by było, gdyby nie było sklepiu. Wszędzie daleko, a na dworze zimno.

Jeszcze jedna osoba... Nagle czuję szturchanie w ramię. Jej, nie teraz, nie mogę wyjść i porozmawiać... Ale odwracam się i patrzę; widzę za mną ogromny tłum i jakąś bezpańską rękę wystającą z niego. Twarz właściciela zasłonięta jest olbrzymim plecakiem osoby, która próbuje wymusić na osobie stojącej przede mną zakup Kinderka. Ale po głosie poznaję: nieszczęśnik z mojej klasy, który ma ten sam problem co ja. Prosi, abym kupił dla niego zapiekankę i wręcza mi odliczoną kwotę.

Nadchodzi pora na mnie. Już trzy razy się zastanowiłem co chcę i lakonicznie wyznaję swoje prośby „Kanapkę, Tymbarkę i zapiekankę. Tymbarkę proszę wylosować”. Otrzymuję towar, płacę i próbuję opuścić lokal. Spoglądam jeszcze w poszukiwaniu wolnych miejsc przy stolikach, aby skosztować obiad w miejscu, gdzie są godne warunki sanitarno – epidemiologiczne. Lipa – wszystko zajęte. Postanawiam poczekać na kolegę, który z kolei czeka na zapiekankę. Nie spieszy mi się, przecież nie będę w tym momencie się nad nim pastwił i jadł, głośno sygnalizując, jaka to bułka jest miękka, zaś szyneczka delikatna.

Stojąc w bufecie, podziwiam

to, czego kupić nie zdołam. Zastanawiam się, czy nie za-inwestować ostatnich pieniędzy w butelkę Cisowianki.. Ale z drugiej strony chciałbym kawę... Woda, kawa, woda, kawa... Nic, Tymbark z aforyzmem ma wystarczyć. Nadmiar towaru może jednak zniechęcić do kupna...

Wnet słyszę: „Proszę zapiekanekę”. Nareszcie, wraz z kumplem jesteśmy wyposażeni w prowiant, możemy wychodzić. Co jakiś czas słyszę zapytania od znajomych, czy stoję w kolejce, czy mogę coś jeszcze kupić. Ale stąkam pewnie ku wyjściu. Mijam drzwi, oglądam

się za siebie, tłum nie zmniejsza się. We dwóch już wyszliśmy. Dobra, koniec podróży, otwieram Tymbarkę, aby zwilżyć usta, czytam aforyzm „Zielony wygrywa!” i chlup. Ostatnie spojrzenie w stronę marketu i decyzja: „Jedźmy, nikt nie woła”.

Przemek

Samotni

Z drzew opadły ostatnie złote liście, ziemię i otaczający nas świat okrył biały puch. Przyszła zima, a wraz z nią zbliżają się Święta Bożego Narodzenia.

My je uwielbiamy: dni wolne od szkoły, „słodkie lenistwo”, prezenty, Sylwester! Ale są ludzie, dla których święta są bardzo smutnym czasem, pełnym rozmyślań, refleksji, łez...

Często tacy ludzie mieszkają niedaleko nas: starzy, samotni, schorowani. Może twoja owdowiała sąsiadka spędzi święta całkiem sama, starsze małżeństwo mieszkające niedaleko, samotni ludzie z domów spokojnej starości... A może to twoja babcia lub dziadek, któ-

rych nie odwiedzasz, spędzą święta sami – mimo, że mają rodzinę? A gdyby tak odwiedzić, pomóc w przedświątecznych zakupach, porządkach, zanieść kawałek smacznego ciasta upieczonego przez mamę? A może porozmawiać z rodzicami i zaprosić sąsiadów na Wigilię? Pójść w odwiedziny do domu spokojnej starości, spędzić miłe popołudnie ze starszą osobą, popijając herbatkę, czytając jej książkę, rozmawiając?

Święta powinny dla każdego być czasem pełnym ciepła, radości, miłości, niezapomnianych, magicznych chwil. Postarajmy się, by były takie nie tylko dla nas. ;)

William Blake

Boski wizerunek

*Gdzie Dobroć, Litość, Pokój,
Miłość -*

*Tam płyną nasze modły:
Żadnej znękaney ludzkiej duszy
Te cnoty nie zawiodły.
Bo Dobroć, Litość, Pokój, Miłość
To Bóg, co włada w świecie
I Dobroć, Litość, Pokój, Miłość
To człowiek - Jego dziecię.*

*Dobroć ma bowiem ludzkie
serce,
Litość - ludzkie wejrzenie,
Miłość - człowieka postać
boską,
Pokój - jego odzienie.*

Little Girl

Najsmaczniejsze dźwięki piątkowiczów

XXI wiek uważany jest za „erę techno” – co wcale nie oznacza, że takowa era panuje w naszej szkole. Z gatunków zbliżonych do techno słuchamy dance, trance czy muzyki elektronicznej. Jednak to nie są najpopularniejsze rodzaje w V LO. Króluje rock i hard soft, irche, alternatywne, itd. – przeróżne jego odmiany, ale rock mimo wszystko. Image większości uczniów może jednak wskazywać, że mamy głównie fanów wcześniej wymienionych „technopodobnych” gatunków. Dobrze, że tak nie jest i że nie staramy się podążać za wszelkimi muzycznymi

nowościami. Techno to zabawa dźwiękami, popis umiejętności bardziej maszyny niż człowieka. Dlatego nie ma nic złego w tym, że jest dla nas dodatkiem, a nie kwintesencją. Z kolei do stojących na pograniczu dodatków i kwintesencji należy zaliczyć: reggae, rap, czy muzykę lat 80 oraz... disco polo :), które jest raczej elementem dobrej zabawy. Warto mieć coś, co „koloryzuje” nam życie poprzez szaleńcze dźwięki oraz pustawe teksty. Disco polo jest więc czystą rozrywką, choć niezbyt wyszukaną.

Czego niemal w ogóle nie

słuchamy?

Jazzu, bluesa, muzyki klasycznej. Gatunki ciężkie, nie będące na topie i trudne w odbiorze. Warto by jeszcze wspomnieć o muzyce POP. Pozostaje ona neutralnym gatunkiem, po którym od czasu do czasu ze spokojem chadzamy.

Muzyka jako sztuka jest różnorodna i z tej racji nie można mieć jednoznacznego stanowiska w dziedzinie ogólnego gustu muzycznego Piątkowiczów.

b.a.

|| Mój zawód - moje marzenie

Denerwujemy się, gdy jesteśmy nazywani dziećmi. Nie można też powiedzieć, że jesteśmy dorośli. Jednak pomimo młodego wieku musimy podejmować bardzo ważne decyzje. Robimy to mniej lub bardziej samodzielnie – jedni w konsultacji z rodzicami, inni pod wpływem grupy, jeszcze inni zdani są tylko na siebie. Jedną z takich decyzji mamy już za sobą – wybór liceum. Jakby na to nie spojrzeć – źle nie trafiliśmy. A jednak każda decyzja – tak i ta – niesie za sobą konsekwencje, otwiera, ale też zamyka nam pewne drogi. Przed nami egzamin dojrzałości – kolejny trudny i bardzo istotny wybór, przed którym stajemy. I nie oszukujmy się – mając zaledwie 18 lat możemy popełnić ogromny (jeśli nie największy) błąd, który wpłynie na całe nasze późniejsze życie.

Jako, że czuję się humanistką, szukam studiów niezwiązanych z przedmiotami ścisłymi. Odłu-

ższego czasu rozważałam różne możliwości, w wielu źródłach szukając ciekawego rozwiązania. I... nie znalazłam. Doszłam do wniosku, że humaniści są w sytuacji wysoce nieuprzywilejowanej. Dziś poszukuje się absolwentów politechniki, a jeżeli uniwersytetu, to po kierunkach ścisłych. A co z biednymi anty-ściślakami? Niestety, dla nich rozwiązania nie ma, bo dla większości zdawanie matematyki czy fizyki na maturze (nawet podstawowej) stanowi barierę nie do pokonania. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że robię błąd. Szukam studiów, które mnie zainteresują, ale też pozwolą na znalezienie dobrze płatnej pracy. Materializm? Nie, jedynie próba podjęcia racjonalnej decyzji. Próba nieudana i... niepotrzebna.

Co nam więc pozostaje? Myślę, że rozwiązanie jest jedno: postawić na to, co lubimy, na czym nam zależy. Nie zważając

na to, co będzie po studiach wybrać przed maturą zajęcie pochłaniające nas bez reszty, coś, co moglibyśmy robić przez całe życie. Dlatego tak ważne jest, by już w liceum znaleźć sobie hobby, bo przecież już przed egzaminem dojrzałości musimy mieć chociaż bardzo ogólny zarys przyszłości.

Łatwiej i chętniej uczymy się rzeczy (i przedmiotów), które lubimy. Wtedy sama czynność uczenia się przynosi nam ogromną satysfakcję, a jeżeli praca przynosi zadowalające efekty to satysfakcja jest jeszcze większa. Myślę, że w tym kierunku należy podążać. Bo przecież żeby coś robić dobrze, trzeba to kochać. A czy może być coś lepszego niż dostawanie pieniędzy za coś, co się kocha? Potrzeba do tego jedynie odwagi do realizacji własnych marzeń. Czego życzę tak Wam, jak i sobie. Powodzenia!

Kazik

|| „Jutro pójdziemy do kina”

Tytuł tego filmu może wydawać się dość nietypowy i zaskakujący. Jednak po obejrzeniu tej najnowszej produkcji reżysera Michała Kwiecińskiego z 2007 roku, przekonujemy się, że nie tylko tytuł może zaskakiwać. Choć nazwisko reżysera jest mało znane, trzeba przyznać, że zasługuje on na uznanie. Niewiele polskich filmów jest naprawdę dobrych, jednak ten bez wątpienia warto obejrzeć.

Akcja filmu rozpoczyna się w 1938 roku, kiedy trzech maturzystów: Andrzej Skowro-

ński, Jerzy Bolesławski i Piotr Dołowy wkracza w dorosłe życie. Po ukończeniu liceum drogi przyjaciół się rozchodzą. Andrzej idzie do kawalerii, Piotr studiuje medycynę, a Jerzy odbywa roczną służbę wojskową, potem zamierza studiować. Przysięgają sobie jednak, że to nie będzie koniec ich przyjaźni. Każdy spotyka swoją pierwszą miłość. Jerzy zakochuje się w Krysi, nieśmiałej dziewczynie z dobrego domu. Chłopak kocha ją tak bardzo, że znosi jej dystans do siebie i skrytość. Nieśmiały i dość nieporadny w

kontaktach z płcią przeciwną Piotr, spotyka na swej drodze piękną Zosię. Pomimo znacznych różnic ich charakterów, od razu rodzi się między nimi uczucie. Andrzej natomiast wdaje się w chwilowy romans z właścicielką baru – Kaliną. Pewnego dnia jednak jego serce zdobywa uroczą córką starosty. Z początku opiera się ona uczuciu, jednak w końcu ulega urokowi młodzieńca. Kiedy zdaje się wszystko zaczyna się szczęśliwie układać, wraz z końcem wakacji wybucha od dawna wisząca w powietrzu wojna.

Muzyka

Rujnuje ona wszystkie ich plany i marzenia. Nie chcę zdradzić szczegółów, powiem tylko, że film kończy się dość zaskakującą śmiercią jednej z głównych postaci w nawiązaniu do tytułu...

Trzeba przyznać, że młodzi aktorzy: Mateusz Damięcki (Andrzej), Kuba Wesołowski (Jerzy) oraz Antoni Pawlicki (Piotr) zagrali w tym filmie znakomicie. W epizodycznych rolach mogliśmy również zobaczyć Grażynę Szapołowską (matka Krysi), Daniela Olbrychskiego oraz Krzysztofa Stel-

maszyka (starosta). Film ten naprawdę wiarygodnie, niekiedy nawet w zabawny sposób odzwierciedla życie i kulturę tamtego okresu, która znacznie różniła się od dzisiejszej.

Film „Jutro idziemy do kina” oparty jest na faktach z młodości reżysera. Historia nawiązuje do losów pewnej klasy. Większość z jej uczniów nie przeżyło wojny. Uważam, że my, jako dzisiejsza młodzież, powinniśmy oglądać takie filmy, może chociaż po to, aby docenić ten trud i poświęcenie naszych rówieśników w czasach II wojny

światowej. Tragizm losów ówczesnego młodego pokolenia ukazany w tym filmie, zmusza do refleksji na temat kruchości życia i bezradności człowieka wobec potęgi przeznaczenia. Jestem pod ogromnym wrażeniem tego obrazu i naprawdę zachęcam do obejrzenia. Jestem pewna, że taki film nie może nie zapaść na długo w pamięć. Zaś ci młodzi patrioci będą żyli dopóty, dopóki pamięć o nich nie zniknie z serc Polaków.

Kała 2 D (Karolina
Żelechowska)

Samotny dzień, ciemne strony Hollywood i nic więcej się nie liczy, czyli czego słuchamy?

Za nami cztery tygodnie Listy Przebojów na Nieoficjalnym Forum V LO. Czołowa trójka trzyma się mocno i trudno się temu dziwić, bowiem są to kawałki, które prawdopodobnie będą żyły wiecznie.

Ciemne strony Hollywood

„Californication” jest uznawany za jedną z najlepszych piosenek „Papryczek” (Red Hot Chili Peppers). Czwarty singiel z płyty o tym samym tytule został wydany w 2000 roku. Autorzy zamieścili w nim niezbyt pochlebne słowa o Hollywood. Do piosenki został zrealizowany bardzo ciekawy klip, przypominający grę wideo, w której każdy z członków zespołu jest bohaterem.

Samotny dzień

„Lonely day” zespołu S.O.A.D. z podwójnego wydawnictwa „Mezmerize / Hypnotize” ma już ponad dwa lata. Zajmuje drugie miejsce w liście przebojów V LO. Na szczególną uwagę zasługuje niezwykle melodyjny głos gitarzysty, Darona Malakiana, który na „Mezmerize / Hypnotize” dał zdecydowanie większą próbkę swojego wokalu, niż na poprzednich płytach. Obojętnym nie można pozostać na chrakte-

rystyczną, długą solówkę gitarową, oczywiście w wykonaniu Darona. Teledysk również jest ciekawie zrealizowany. Ukazuje członków zespołu zajętych różnymi czynnościami, które wykonują sami. Wizja płonącego Los Angeles, przedstawionego w klipie, również sprawia, że kawałek na długo zapada w pamięć.

Nic więcej się nie liczy...

Zdecydowane król naszej listy. „Nothing else matters” -najpiękniejsza, nie boję się zaryzykować stwierdzenia, że również najśłynniejsza ballada heavy-metalowa. Jeden z najlepszych i najlepiej rozpoznawalnych kawałków w historii, należący do zespołu Metallica. Wydany dwukrotnie jako singiel. Po raz pierwszy ukazał się na płycie „Metallica” (znanej również jako Black Album) w 1991 roku. Tekst napisał James Hetfield, dedykując ją swojej ówczesnej dziewczynie. Znajomość okazała się jednak mało istotna w jego życiu. Ballada opowiada o rozstaniach muzyków ze swoimi ukochanymi podczas tras koncertowych. Jako ciekawostkę mogę dodać, że pierwsze cztery

wersy tekstu są ostatnimi słowami jakie wypowiedział przed swoją śmiercią dziadek wokalisty. Solówka gitarowa z „Nothing else matters” została sklasyfikowana na 39 miejscu 100 solówek wszechczasów. Piosenka doczekała się wykonania przez wielu innych artystów, takich jak Gregorians czy Die Krupps, jednak najśłynniejszym coverem „Nothing else matters” jest wykonanie fińskiej grupy Apocalyptica. Teledysk zawiera fragmentu filmu o Metallice A Year and a Half in the Life of Metallica, czyli ujęć z sesji nagraniowej do „Black Album” oraz różnych wygłupów muzyków.

Co dalej?

W czołówce mamy wielkie hity. Piosenki, które śmiało można nazwać ponadczasowymi. Myślę, że w kolejnych notowaniach bój o pierwsze miejsce będzie rozgrywał się również między nimi. Chyba, że w naszym Radiowęźle usłyszymy jakiś hit, który będzie w stanie przełamać dominację Jamesa i jego bandy.

Linus

■ (Bez)Nadziejna szkoła?

Miało nie być patetycznie... Miało nie być moralizatorsko... I miało nie być sentymentalnie... Ale chyba trudno uniknąć tego zupełnie, pisząc o... Tak, właściwie trzeba użyć tego słowa – kochanej Piątce. ;)

Bardzo prawdopodobne, że wielu uczniów nie podziela mojego zdania o V LO, uważając je za szkołę taką jak wszystkie. Niech jednak wytłumaczają mi fenomen odwiedzin naszego liceum przez absolwentów i ich rozpoznanie w bieżących sprawach szkoły! Bynajmniej nie mam na myśli tylko najbardziej zagorzałych fanów Piątki. ;) Moja, była już klasa, także zatęskniła... Nawet Ci, którzy zarzekali się, że to nie nastąpi.

Czasy liceum były dla mnie i wielu moich rówieśników fenomenalne, chociaż – jak się okazuje – życie studenckie też takie może być. ;) Może więc troszeczkę o bujnym życiu stu-

denckim? Politechnika, Akademia, Uniwersytet – uczelnia? Nieważne jaka, ważne, żeby kierunek był satysfakcjonujący. Kluby, kina, akademiki, a także centra kultury czy „różnego rodzaju punkty gastronomiczne” – to oczywiście tu koncentruje się życie towarzyskie. Miejsc i organizacji, w których można działać, rozwijać się, spędzać miło czas – jest jeszcze więcej... A warto być w tym okresie aktywnym, bo możliwości są ogromne. Dla kogoś, kto żyje dość „intensywnie” (w każdym tego słowa znaczeniu) w LO, życie studenckie od licealnego różni się właściwie tylko jedną rzeczą... Ma się zdecydowanie więcej czasu na rozwijanie pasji i życie towarzyskie (cóż, może np. na medycynie aż tyle go nie ma... Ale w końcu wyjątki tylko potwierdzają regułę). Zatem warto i liceum dobrze przeżyć, a nie – jak to się mówi –“od-

bębnić”... Inaczej (i później, niestety) nic nam się nie będzie chciało... A szkoda. Mówi się, że liczy się tylko to, co nas jeszcze czeka... Trudno jednak odgrodzić się od tego, co było. To co było ma przecież wpływ na teraźniejszość, trudno zacząć wszystko zupełnie od początku. Warto chyba czasem sobie to przypomnieć.

Mam nadzieję, że tych kilka myśli – spisanych gdzieś między wykładami – nie było znowu takich ciężkich do przetrawienia i że Wy również będzie tak miło wspominać to LO. ;) Tego Wam życzę!

Korzystając ze sposobności życząc Radosnych i Niezapomnianych Świąt Bożego Narodzenia wszystkim pracownikom, nauczycielom i uczniom V Liceum!

Nadziejka

■ Grupa Wsparcia AA Anonimowi Artyści są wśród nas

Chcę pamiętać

Pozwól mi być

Z tobą

Abym mogła zapamiętać

Każde spojrzenie

Uśmiech

Drgnienie reki

Iskrę w oku

Pozwól mi być

Obserwatorem

Czujnym i dokładnym

Abym mogła

Wykonać obraz

W pamięci

Bo chcę pamiętać ciebie

Pochmurnego

Dnia słońce

Anastazja E.T.

Rewolucja!!!

*PUM, PUM serce coraz wolniej bije
SZUM, SZUM coraz głośniejszy w mojej głowie
HE, HE złowieszczy uśmiech po mej twarzy się wije
TRACH, TRACH tego co kością się zowie*

*Pośród gniewu i radosnej dysproporcji
Wszelkich bólów i krzywd absorpcji
Stalowe koromysło połyskiem korci
Praktycznie bez powrotu, praktycznie bez aborcji
Anormalnie zachwiany wiecznie duch
A w powietrzu słyszać mój oziębły chuch
I para unosi się ze zdrewniałych ust
Kiedy z impetem pociągam za spust*

*PUM, PUM serce w nerwach i agonii
SZUM, SZUM łuski obok własnej skroni
O tak
Rewolucji, potrzeba mi solucji
Przeciw już dawno zatęchłej rezolucji
Rewolucja me jedyne rozwiązanie
Koło krwawych słów, piękny pomnik zaraz stanie*

*Kartka biała, w czarne brzydkie słowa
Wyczytany fosfor i broń atomowa
Dawka codzienności boleśnie miligramowa
Tu przeciw władzy stanowcza odmowa
A tuż obok piękne damy lica
I usta, którym ustępuje przesadzona nerwica
To co zrusza mną, mym kodeksem moralnym
To irracjonalny pociąg progresywny o charakterze molekularnym*

*HE, HE uśmiechu z twarzy nożem nie zdejmę
TRZASK. TRZASK starego świata, kiedy cię obejmę
O tak
Rewolucji, potrzebowałem tej solucji
Pora na uchwalenie sprawiedliwej konstytucji
Konstytucja! Me jedyne rozwiązanie
Twe oblicze tak ogromne, a imię zaś kochanie*

Talyb

Naiwna

*Nieznaczące nic myśli, które czasem przychodzą nagle,
panoszą mi się w głowie, zajmując najlepsze kanapy.
Siedzą, plotkują, ani im się śni wyjść.
Ani im się śni.*

*Jaką one sprawiają mi przykrość, gdy tak siedzą,
gdy przypominają, że wciąż na kogoś czekam.
Znienawidzone przeze mnie pomyłki podświadomości.*

*Mówię im, że mają już iść, a one nic.
Siedzą i siedzą i ani im się śni wyjść.
Już nawet im grożę, ale one są jak wyrzuty sumienia.*

*Dręczą mnie, prześladują, niby nic nie chcą, a jednak...
są i są i długo jeszcze będą.*

*Próbuję je topić czasami, ale nic z tego.
To mistrzynie. Jak ktoś kiedyś powiedział,
świetnie umieją pływać.*

*Jak
tak
można?*

Pytam się!

*Ja, tak naiwna, że jeszcze można, do mnie przyjść
i nie chcieć wyjść.*

Żyra

*Gdy słyszysz śpiew
nawet cichy
- idź za jego brzmieniem,
tam szczęście znajdziesz...
Gdy widzisz światło w oddali
- podążaj za nim z czystym sumieniem
tam nadzieje znajdziesz...
Gdy czujesz pocałunek ciepła na twarzy
- zmruż oczy,
a szczęścia zaznasz...
Bo nieszczęśliwy jest tylko ten, kto nie widzi,
nie słyszy,
nie czuje,
Że radości nie ma w złocie
bo nas czas wykruszy,
a szczęściem jest to co wieczne,
co tkwi głęboko w duszy...*

Kala

Aniele

Aniele,
Stróżu mój.
Już zawsze przy mnie stój.
Już zawsze przy mnie bądź.
Już nie odchodź.

Nie pozwól na krzywdę.
Nie pozwól na ból.
Nie dopuść do złego.
Aniele,
Stróżu mój.

Utul mnie i ukołysz,
ja już pójdę spać.
A Ty przy mnie stój.
Aniele,
Stróżu mój.

Żyra

„Spadł”

Spadł. Zapukał do mych drzwi.
Bezwstydnie w progu zapytał się mnie:
ktoś mnie wołał. Czy byłeś to Ty?
Przez głowę przeszła mi myśl. Ze już go widziałem. Tylko...
Gdzie?
Nie, to nie ja. Szukaj dalej.
Stał. Jakby nie słyszał wcale.
Zaczął płakać. Bo czuł się już niepotrzebny nikomu.
Chciał się wypłakać. Dlatego zapukał do mojego domu.
Kiedyś... Kiedyś był kochany.
Kiedyś... W przeszłości bywał wychwalany.
Dziś sam na siebie jest zły.
Z jego oczu kapią czerwono-złote łzy...
Choć kiedyś potrafił być dla ludzi lekiem na całe zło.
Teraz sam przegrał ze złym wiatrem. Który porwał go...
On tęskni. Tęskni za tamtymi momentami.
Gdy przez parkowe alejki nieśli radość zakochani.
On szczęśliwy, przyglądał się temu.
Dziś tego nie ma. Zostało tylko pytanie: czemu?
Widział jego przyjaciół, których jesienią zbierały dzieci.
Widział kasztany. Najpierw zbierane, kochane. Potem
traktowane jak śmieci.
Morał? Boli go przemijanie.
Ale to stałość świata. Nie poradzi nic na nie.
W świadomości trzeba mieć to koniecznie.
Żadna rzecz na świecie nie była trwała. Trwała nie jest. Nie
będzie trwała wiecznie...
Nawet liść, który zapukał do mych drzwi,
Znowu został porwany przez wiatr, poleciał szukać lepszych
dni...

Linus

The Beautiful People, część 1

Szary zmierzch, wirujące drobne płatki śniegu. Nad nim szare niebo, granatowo fioletowe chmury. Niebo przypomina wysypany dopiero co z pieca popiół. Przejmujący chłód. Jest tak zimno, że już przestał czuć wrzynające się w jego zsiniałe policzki drobinki lodu. Nawiewał je mroźny wiatr.

Para z jego ust osiadała na czarnym szaliku w postaci kropel wody. Marznąc i pomnażając drobne kropelki na wełnie, mijał kolejnych przechodniów. Patrzył na ich czerwone nosy chowające się za szalami i chustami. Oglądał ich kolorowe płaszcze i kurtki. Uśmiechał się w duchu widząc ślizgające się obcasy modnych pań. Mijał jasne witryny sklepów, udekorowanych światełkami choinkowymi i łańcuchami. Gdy ktoś wychodził otwierając drzwi dało się usłyszeć fragmenty kołęd.

Kiedy zrobiło się tak ciemno?

Ulice oświetlane były teraz przez wysokie latarnie, światła samochodów stojących w korkach i snopy światła wypływające z okien mijanych budynków mieszkalnych i sklepów. Śnieg padał coraz gęściej, a wiatr był silniejszy. Już kompletnie nie czuł zimna. Dotarł do przystanku.

Marznący ludzie wracający z pracy, szkoły, zakupów. Błada dziewczyna w długim czarnym płaszczu, z kolorowymi sznurówkami: każda inna. Stoi i uśmiecha się do wszystkich wokół. Starszy pan w kapeluszu, z ciemna drewnianą laseczką. Patrzy na nią, jakby kogoś sobie przypominał. Też zaczyna się uśmiechać. Podjeżdża 153, wylewa się z niego masa ludzi. Dziewczyna i pan znikli gdzieś w tłumie. Widzi ją przez szybę, jak kasuje bilet i staje, łapiąc za oparcie inne siedzenie, żeby się nie przewrócić; Pan znalazł miejsce siedzące. A on został na przystanku. Nagle znalazł się w tumanie spalin pozostawionych przez 153. I pewnie już ich nie zobaczy, ani uśmiechu bladej dziewczyny, ani zabawnego pana z laseczką.

Obok niego jakaś kobieta w długim bordowym skafandrze. W jej rękach torby z zakupami i rączki dwójki dzieci. Z ramienia zsuwa się torba. Usiłuje odebrać telefon i uspokoić dzieci: „Maciuś, już zaraz będziemy w domu”. Udało się, przystawia telefon do ucha. „Ee... Tak Kochanie, już jedziemy”. Patrzy na jej zmęczony wyraz twarzy, pewnie zemdlone już ręce. Strasznie zaniedbana, pewnie to jedna z tych, które nie mają czasu dla siebie, bo całe poświęcają rodzinie. A później mąż znajduje sobie młodszą i ładniejszą, która chodziła do kosmetyczki, a nie dźwigała zakupów, z dziećmi pod pachą.

Przyjechało 26. Zaczął gnieść się między tłumem. Jeszcze usłyszał głos pani w bordowej kurtce „To jeszcze nie nasz, słonko”. Był w środku. Od razu uderzyły go ciepło i duszący zapach tak charakterystyczny dla komunikacji miejskiej. Skasował bilet i - jak poprzednio bladej dziewczyna - złapał za oparcie krzesła obok, gdy pojazd ruszył. Szarpnęło nim dość mocno. Jeszcze przez moment patrzył na tę panią z dziećmi. Teraz to oni pewnie znaleźli się w chmurze spalin. Wstrętna, rażąca żarówka autobusu, przeciskający się obok niego ludzie - horror. Hałas, zaduch, ciasnota. Jeszcze tylko jedno światła i już jego przystanek. Jest. Drzwi otwierają się z sykiem. Wychodzi z częścią pasażerów. Z naprzeciwka już tłoczą się kolejni - obijając się o niego, szturchając bezczelnie. Brutalnie naruszają jego przestrzeń intymną, to niewybaczalne. „I've got you dunder my skin” Rudy chłopak za głośno słucha muzyki, wystarczy odrobinę naruszyć ową przestrzeń intymną i już człowiek wie, co wypływa ze słuchawek innego.

Przechodzi obok supermarketu, ochroniarz w stroju Mikołaja rozdaje dzieciom cukierki. Dlaczego zatrudnili do tego ochroniarza?

Wchodzi do środka, z daleka widzi wolontariuszy w pomarańczowych koszulkach. Stoją przy drugim wejściu obok dwóch gigantycznych koszy z jedzeniem. Odwracają się do niego.

- Siema!

- Siema. Sorry, za spóźnienie, korki.

- Spoko; i tak jesteś za wcześnie - pociesza go blondynka z pękiem ulotek w ręce. - Ta dziewczyna, która ma to robić z tobą jeszcze nie przyszła.

- Dobra, ja już się tym zajmę. Idźcie.

Odchodzi. Zdejmuje płaszcz, zakłada pomarańczowy t-shirt z logo banków żywności. Zawiesza na szyi legitymację PCK. Uśmiecha się, rozdaje ulotki tym, którzy coś wrzucili do koszy nalepki z logo akcji. Do sklepu wchodzi bladej dziewczyna w czarnym płaszczu. Podchodzi do niego.

- Hej. Przepraszam, że dopiero teraz, coś mi wypadło po drodze.

- Nie ma sprawy.

Daje nalepkę jakiejś pani, życząc jej wesołych Świąt. Dziewczyna szybko zdejmuje płaszcz, zakłada pomarańczową bluzkę i zawiesza legitymację. Bierze się za rozdawanie ulotek i uśmiecha jeszcze szerzej niż na przystanku.

- Czy ty nie stałeś ze mną na przystanku, w centrum?

- Nie, nie wydaje mi się.

Idzie wciskać ulotkę kolejnej osobie, która może pomóc.

Lipa powraca do XIX – wiecznej tradycji wydawania powieści w odcinkach. TAK WYDAWALI SIENKIEWICZ, PRUS... I *pykający romek poziomek*, ale jego powieści przeczytacie... oto przed wami pierwsza część „Powiewu abstrakcji”.

Znalazłem się w małym, ciemnym pomieszczeniu. Przez dym z cygara unoszący się w powietrzu, udało mi się dostrzec stojący w kącie pokoju mebel. Był to stary, radziecki, mahoniowy kredens. Wbrew pozorom był on taki, na jakiego wyglądał. W pewnym momencie, gdy wpatrywałem się w zakurzony blat biurka, na którym ujrzałem pofalowany od wilgoci, szarobrazowy notatnik, zupełnie nie wiadomo skąd i w jaki sposób, mętną ciszę przerwał dźwięk podobny do tego, jaki wydają ściernięte nogi, prostowane podczas wstawania. Fragment oderwanego tynku uderzył w parapet z taką siłą, że hałas, który przy tym powstał, wywołał u mnie dreszcze. Moje oczy zamknęły się ze strachu. Gdy je otworzyłem, ujrzałem postać siedzącą przy biurku. Zajęta była pisanie. Z daleka dostrzegłem tylko napis, który znacznie różnił się od pozostałych nie tylko czcionką, ale i jej rozmiarem...

...Lipa...

Don wstał, rozejrzał się po pustym pokoju, po czym usiadł ponownie i począł z pasją gładzić swoje kocie wąsiska. Na podłodze leżało drobne dziewczę o włosach tak jasnych, że ledwo można je było dostrzec. Pomimo tego, iż ręce spuszczone miało swobodnie wzdłuż tułowia, smukłe dłonie, związane niebieską smyczą, leżały swobodnie na jej łędźwiach. Gdy tylko starała się wyswobodzić, w mroku dusznego i przepełnionego dymem pokoju, słychać było jakże proste, ale i wymowne: „Hohohohoho”. W głowie Dona kłębiły się niczym węża przeróżne, schizofreniczne myśli: sprężarka, obcęg, prostownica, skórzany pokrowiec na widelec, białe kozaczki, bidet, urwany palec. Ten nic nieznaczący ciąg skojarzeń w idealny wręcz sposób oddawał atmosferę panującą w pokoju. Don Corleone rozpiął równie zdecydowanym, co delikatnym ruchem kwiecistą koszulę, dając do zrozumienia skrzępowanej Blondy, że to, co dobre już się skończyło. Od wielu godzin jedynym jej marzeniem było chociaż czubkiem języka musnąć nawet najmniejszą kropelkę wody. Bała się jednak prosić o cokolwiek Dona, który znany był z błędnych interpretacji pewnych komunikatów, a może lepiej to ujmując... z nadinterpretacji. Zestawienie Blondy z Donem w żadnym stopniu nie mogło przypominać bohaterów homeryckiej Iliady: Hektora i Achillesa. O ile jednak ta opowieść byłaby uboższa, gdybym o tym nie wspomniał...

Na kolanach siejącego grozę Sycylijczyka leżało ogromne, rude kocisko, o czarnych ślepiach i wzdętym od przejedzenia żołądka, wydając raz po raz ciche oznaki życia. Blondy wiedziała, że w każdym momencie może zająć miejsce owego kota, jednakże jak tylko mogła starała się odpędzać te myśli. Jej powieki z chwili na chwilę stawały się coraz cięższe. Ach, gdyby tylko mogła usnąć, choć na chwilę... Nie mogła. Na starej radzieckiej kuchence gazowej stał garnek z kipiącą zupą jarzynową, na którym z niezwykłą gracją i wdziękiem podskakiwała czarna, blaszana przykrywka. Niejedna osoba chciałaby wiedzieć, jaka to ciecz rozlana była na chłodnej, lodowobłękitnej posadzce. Jednak prawdziwą grozę budziły poszarzałe fugi, które mieszając się z cieczą jaskrawego koloru, barwiły się na jasnoróżowo. Gdyby Don wycierał podłogę czarną ścierką, wspaniale by ze sobą kontrastowały, ale Don nie wyciera podłogi. Tymczasem, w pokoju, gdzie toczy się właściwa akcja naszej powieści, Blondy starała się przetrzeć smycz o kant starego drewnianego łóża, w którym to Don raczył sypiać. Podstępne dziewczę nie było jednak w stanie przewidzieć, co stanie się, gdy Don dowie się o jej spisku... Dla zwykłego, szarego czytelnika pozostaje tylko nadzieja, że będzie jednak dobrze. Nie łudźcie się...

pykający romek poziomek

Udział wzięli:

Opiekun Lipy: Pani Profesor Elżbieta Pawlak

Redaktor Naczelna: Aneta Chmielewska

Zastępca Redaktor Naczelnej: Natasza Kwiatkowska

Grafika i skład: Przemysław Portas

Redakcja:

Olga Dąbrowska, Jakub Drewniak, Kinga Gruszecka,
Luiza Nowak, Łukasz Romańczuk, Aleksandra Różycka,
Katarzyna Stachyra, Małgorzata Szadkowska,
Damian Sych, Świrek, Katarzyna Tracz, Monika Tracz,
Beata Wadowska, Dominika Wilk, Kamil Zieliński,
Karolina Żelechowska



Pani Elżbieta Pawlak by Spitfire